

Prima Aprilis

24 grudnia 2007

A więc stało się. Już nadchodzili. Niejeden raz wyobrażałam sobie, jak wyłaniają się zza rogu i nagle stają w drzwiach. Słyszałam ze wszystkich stron ich kroki. I najpierw bałam się. A potem właściwie wcale nie, bo byłam prawie pewna, że już kiedyś w zamierzchłej przeszłości znalazłam się w podobnej sytuacji, czując wprawna rękę losu despotycznie kierującą ich krokami. Sceneria była znajoma, a jednocześnie jakże odległa. Tak mi się przynajmniej zdawało. Czułam, że ubranie mam mokre i dręczyła mnie śmiertelna obawa, że mam rozmazany tusz. Od kiedy zaczęły mi się trząść ręce, wszystko dużo ciężiej mi przychodzi. Za młodu drży nam serce, a na starość ręce i nogi. Poczułam ucisk gdzieś w środku. Otworzyły się drzwi. Wszedł sam dyrektor razem z personelem i ostrożnie dotknął mojego ramienia. I w końcu usłyszałam:

– Będzie pani musiała pójść z nami. Już czas, proszę pani.

To był szok. Świeżo obudzona, nie uwierzyłam, byłam pewna, że pismo dotrze dopiero za tydzień. Ale spojrzałam na dyrektora i już nic nie chciałam mówić, tylko gapiłam się na kurzajkę, którą miał ma brodzie. Tyle, że byłabym wolała być lepiej ubrana, bo akurat miałam na sobie wełnianą suknię w kwiatki, ale dyrektor na nic nie patrzył, tylko pobrzękiwał cicho kluczami, żebym wiedziała, że już czas. Stał przede mną spokojny, cierpliwy, uprzejmy. Było w nim coś wręcz ojcowskiego. To zła wiadomość. Im bardziej był uprzejmy, tym gorzej dla mnie.

Jednak to ciężko tak nagle. Następne minuty upływają na wiadomych sprawach. Pociecha duchowna, śniadanie, toaleta. Potem jedziemy w dół ruchomymi schodami, przez wszystkie piętra, ze szkła i stali, gdzie nie ma gołej duszy, do podziemnego pasażu, a dalej przez długie, tętniące echem korytarze. W tym momencie będzie mi się wydawało, że mam przed

sobą jeszcze dużo czasu. Jeszcze daleko, jeszcze trzy piętra, zanim znajdziemy się na dolnym poziomie, zanim dotrzemy do podziemnej hali, gdzie otoczą nas nieliczni ludzie; urzędnicy, świadkowie, osoby o określonym autorytecie, zwykli uczestnicy, którzy snują się przygarbieni jak sępy.

No trudno, stało się. Ale to wszystko to dopiero wstęp. Przez cały czas jest przy mnie lekarz i ksiądz. Zaczynam wchodzić na schodki, o surowych, drewnianych stopniach, które prowadzą na podest. Czuję, że tracę grunt pod nogami, że robi mi się straszno, umysł się mroczy, a własnego ciała nie czuję prawie wcale. Nie wiem już, co należy do mnie, a co do podestu i schodków. I przez ułamek sekundy przeszywa mnie wizja doznań, jakie mają wstrząsnąć moim ciałem na chwilę przed tym, zanim się to zacznie. Wpierw jednak całe życie staje mi przed oczami takie, jakie było. Dzieciństwo, lata dziewczęce, młodość, różne moje koleżanki, pierwszy mój mężczyzna, z którym miałam silne odczucia rodzaju miłosnego, erotycznego, a następnie jeszcze inni mężczyźni, choć żadnego już tak nie kochałam. A później ten wieczór, który snuł się niczym złota nić biegnąca aż po kres widnokregu, a nawet jeszcze dalej.

Sama się często zastanawiam nad tym, co mi się wtedy właściwie przydarzyło. Tego dnia były moje siedemdziesiąte urodziny. Siedziałam na ławce na tarasie przed domem, podziwiając ciepły wiosenny wieczór, kiedy przyszedł ten młodzieniec i usiadł koło mnie. Nie ma dnia ani godziny, żeby nie było głośno o młodzięży, bo chyba sam Szatan, co hula po tym padole, chytrze się zakrada w te młodziutki, niewinne serca i psuje je do szpiku kości. Potem dorastają, zaczynają pracować i stają się alkoholikami, palącymi skręta za skrętem. Ale to świat dorosłych jest temu winien przez środowisko naturalne, przez człowieczeństwo do reszty zdegradowane, przez ciągłą degrengoladę.

Lecz on był inny. Romantyczny i pełen gracji, a jednocześnie drapieżny i mroczny z czarnymi włosami przyczesanymi gładko i lśnącymi dokoła głowy, smagłą oliwkową cerą oraz cieniami

grającymi na kościach policzkowych, które otaczały jego oczy niczym aureola z szafiru. To lubię. Zadzwoniło mi w prawym uchu. Zaraz sobie pomyślałam, że to na szczęście. Nie znałam go wprawdzie, ale zachowywał się dość przyjaźnie, jeśli słowem „przyjazny” określimy kogoś, kto wydawał się swobodny, szczery, sympatyczny i lekkomyślny, a kto w chwilę potem wyszczerzył zęby w uśmiechu i bardzo delikatnie, bardzo kojąco zaczął pocierać moje udo powyżej kolan, jakby to była najnormalniejsza w świecie rzecz. Prawdę mówiąc zaczął mnie trochę niepokoić, choć może byłam nie tyle zaniepokojona, co odrobinę skonsternowana, bo siedział tak blisko mnie. Lecz nie powstrzymałam go, bo odczuwałam przyjemność, gdyż nikt nie robił tego od czasu, kiedy mój mąż odszedł z tego świata 25 lat temu.

Oczywiście nie próbowałam go powstrzymać. Niby dlaczego? Mój Boże, dlaczego? Było mi tak dobrze, czułam, że naprawdę żyję. Od lat tak się nie czułam! Od lat nikt mnie nie tak nie całował. To znaczy owszem na dzień babci i tak dalej, przy różnych okazjach, kiedy ludzie zwykli się całować, co zdarza się w sumie rzadko, z doskoku i z jednej strony, a często i nierzadko, gdy rodzice całują swoje dzieci, hazardzista całuje kości na szczęście, raz ktoś całował nawet ulubiony samochód przez 54 godziny. Ufam, że Bóg mi przebaczy to wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy, które stały się zaraz później. Wcześniej, cóż, wcześniej zrobił mi totalny mętlik w głowie. Zajęło mu to około czterech minut, w czasie których napięcie rosło, a mój opór malał. Zanim się obejrzałam rozpałił mnie do czerwoności i nagle odezwała się we mnie natura. Odezwała się potężnym głosem, wobec którego woła była niczym pisk samotnych skrzypiec na tle symfonii, głosem rozkrzyczanym niepowstrzymaną żywotnością, mistycznym, mrocznym, elektryzującym; kto już nie kocha i nie błądzi, ten niech się da raczej pogrzebać. Więc zrzuciłam z siebie kiecki, rajstopy, czarne majtki, czarny stanik i zawołałam:

– Bierz mnie, chłopcze, bierz mnie!

I co? Czy zrobił to? Nie, do diabła! Nie zrobił tego, tylko zawołał:

– Prima Aprilis!

I wtedy zastrzeliłam sukinsyna.

Zdawało mi się, że prowadzą mnie korytarzem na spacer. Widziałam różne rzeczy, które były wokół, karton po obuwiu, pompka, za trąbką gąbka. Wzrok przyklejał się do tych wszystkich przedmiotów spotykanych po drodze, a umysł był oknem i zwierciadłem zarazem. Dokoła nieliczni świadkowie, kilkanaście par oczu, a przede wszystkim okrągły zegar ścienny. Jak to? Czyżby już była za pięć dwunasta? To niemożliwe, zapewne zegar śpieszy się. Nogi mi słabły coraz bardziej, a serce przeciwnie, rozdygotane waliło coraz mocniej i mocniej. Wreszcie przyprowadzono mnie do wielkiego pomieszczenia przypominającego prosektorium. Nerwy zaczęły mi puszczać oczka, więc jakiś człowiek, pewnie lekarz, wyjął z torby i podsunął pod nos flakon soli trzeźwiących. Ksiądz podał krzyżyk do pocałowania. Byłam o wiele spokojniejsza, od kiedy zdałam sobie sprawę, że zaraz będę to wszystko miała za sobą. Czy w tym momencie bardzo się cierpi? E, chyba nie bardzo. Klapy usuwają się spod moich stóp i lecę w dół całkiem sama w wielkiej ciszy wypełnionej nicością. Zastanawiam się, co jest w tym strasznego. Nie w tym, ale wręcz w ogóle, co jest straszne. Jedna chwila i połączę się z Najwyższym Rozumem oraz Ostateczną Przyczyną. Dlatego w tych ostatnich momentach nie straciłam przytomności. Przeciwnie, myślałam dwa razy szybciej na sekundę niż normalnie, byłam bardzo świadoma wszystkiego i wszystkich przedmiotów spotykanych po drodze i dziwiło mnie, jak wielkie kroki potrafi stawiać myśl w mojej głowie i jak wiele rzeczy dzieje się w każdej chwili. Akurat przede mną były schodki, które prowadziły na rusztowanie. Ze wszystkiego, co było w tym pomieszczeniu, właśnie te schodki bez poręczy zapamiętałam najlepiej, bo zobaczyłam je w perspektywie, w której powoli zaczęły zmieniać rozmiar, stając się węższe i jeszcze bardziej wąskie. Wreszcie kończyły się

tam pod samym hakiem, który wciąż przypominał o tym, co się zaraz stanie i wszystko się wkoło tego haka zaczęło poruszać i obracać. Gapiłam się na niego jak w gnat, jak w sam środek nicości pośród życia. I pomyśleć tylko, że śmierci nie ma, śmierć to jest jakiś staroświecki przeżytek. Lecz kara śmierci to co innego. Kara śmierci jest teraz bardzo potrzebna społeczeństwu, czemu nie raz dawało ono wyraz. Nie wiedziałam zbyt wiele na ten temat, ale to jednak sporo drewna nie licząc stryczka i mechanizmu zapadni, kata, lekarza, księdza i całego personelu, wszystko to sporo kosztuje. Dlaczego więc w ramach oszczędności nie wieszka się skazańców po prostu na trzepaku, niezbyt niskim, bo niski trzepak psuje cały efekt; dobrze jest pokazać dla postrachu jak skazańcy wierzgają. A najlepiej na końcu, gdy wywalają jęzory. Takie długie i sine niczym fioletowe krawaty. I czy nie brzmiałoby lepiej i nie byłoby oszczędniej, gdyby sędzia rozkazał po prostu woźnemu sądowemu:

– W imieniu sądu najwyższego skazuje się tę oto kobietę na śmierć przez powieszenie. Od tego wyroku nie ma apelacji! Weźmiecie ją i powiesicie na najbliższym trzepaku. Potem dostaniecie na piwo.

Od dnia narodzin czekamy na dzień śmierci. Gdy czymś najgorszym jest śmierć, człowiek chce po prostu żyć. Ale gdy poznaje coś gorszego od śmierci, woli raczej umrzeć. Już chciałam umrzeć. Chciałam tylko, żeby nareszcie był spokój i żeby już był koniec. Chwiejąc się na nogach, niemal we śnie wlokąc się po omacku raczej niż idąc, zaczęłam wchodzić na schodki. Moje ciało samo szło dalej naprzód. Brakowało mi barierki, ale z boku podtrzymywali mnie strażnicy. W gardle czułam suchość. Widziałam już wyraźnie ostatnie stopnie. Były bardzo wąskie, więc szłam małymi kroczkami, starając się na każdym stopniu wyczuć krawędź. Wstępując na schodki byłam bardzo blada, a kiedy już stanęłam na platformie nogi się pode mną ugięły, zrobiło mi się mdło. Zaczęła mnie boleć głowa. Czułam się tak, jakby zaraz miała oderwać się od reszty ciała, sturlać po schodkach, potoczyć korytarzem do celi z blaszanym

wiadrem koło łóżka i tam odsiedzieć dożywocie. Dokładnie czułam, że moje myśli i emocje biegną we wszystkich kierunkach jak oszalałe. Coś jak grzybobranie z nagonką. Ale na podeście czekał ksiądz, człowiek doświadczony w takich sprawach, bo znów dał mi różaniec do pocałowania. Miałam ochotę usiąść, zamknąć oczy i czekać aż wybije godzina dwunasta. Niech się dzieje, co chce, a ja nawet palcem nie kiwnę w bucie ani u ręki. Zrezygnowałam z opaski na oczy i ostatniego papierosa. Nigdy nie uznawałam tego świństwa.

Nagle stryczek dotknął mojej szyi, strażnicy raptem puścili mnie i zostałam sama na środku pomostu. Najgorsze było to oczekiwanie. Głowa pękała mi od tysiąca sprzecznych doznań i modliłam się, żeby stało się to jak najszybciej. Serce waliło mi jak jakiś młot pneumatyczny. Jednocześnie chciało mi się płakać. Gardło bolało jak otwarta rana od duszącego napięcia, a język obijał się o zęby jak kołek. Zaraz nie będę żyła. Pot strumieniami lał mi się po karku i ściekał po piersi i brzuchu jak ciepłe błocko. Wreszcie obie wskazówki zegara zeszyły się na godzinie dwunastej, kat zwolnił obie zapadnie, które pozbawione ciężaru załomotały od spodu w drewniany pomost. Nie wiem, czy najpierw zapadnie uciekły spod moich stóp, czy też łoskot dobiegł do moich uszu, ale nagle wnętrzości podeszły mi do gardła i na ułamek sekundy w stanie nieważkości zawisłam w powietrzu. A potem czując między udami strumień gorącego moczu runęłam w dół po linii prostej, jak kamień. Nie było żadnego bólu ani targnięcia, dzwonów zewsząd w stereo, żadnego złowieszczonego chrzęstu mono. Żadnej pustki, która rozszerza się i wkracza we wszystko jak noc. Tylko jakiś zakątek mojego mózgu zdziwił się, że jeszcze żyję. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest tak, że właśnie, nie wiedząc o tym, umarłam, skutkiem czego było rozejście się z własnym ciałem. Czyli, że świadomość samej siebie, mojego poczucia własnej wartości, właśnie wyzwoliła się z więzienia materii i zmieniła w energię. W czysty umysł wolny od cielesnej powłoki i jej ograniczeń, mogący swobodnie poruszać się w czasie i przestrzeni. Natomiast bezmyślne ciało żałośnie dyndało w

powietrzu.

Lecz to się nie stało, gdyż zamiast poczuć straszliwe szarpnięcie stryczka zaciskającego się wokół szyi, spostrzegłam, że spadam do sprężystej siatki rozpiętej na mocnej ramie dokładnie pod zapadnią. Tam bowiem, w mroku oświetlonym snopem nieznanego światła wdzierającego się przez otwarte klapy pomostu, umieszczono ten przyrząd gimnastyczny, zwany potocznie batutem, który pozwala na wykonywanie parometrowych skoków wzwyż. Oto przedstawienie, którego się za życia zobaczyć nie spodziewałam. I wtedy jakby w jednej chwili doszło do mnie całe życie składające się w jakiś układ akrobacji połączonych z obrotami ciała i znowu znalazłam się na pomoście. Wprost zaniemówiłam ze zdumienia. Nie byłam w stanie wydusić ani słowa, więc rozpłakałam się rzewnymi łzami wielkości grochu. Leciały one na platformę, zbierając się u moich stóp w małą, lecz dosyć głęboką kałużę; finał straszliwego figla, którego padłam ofiarą.

Oni to wszystko urządzili. Oni organizują takie przedstawienia. Cały czas ćwiczą ponury naród ludzki. Robią nam nowy ustrój, walczą przeciw szarości, przeciw codziennemu rytmowi życia bez perspektyw. Bez śmiechu świat byłby pomyłką. Więc ćwiczą naszą zdolność dostrzegania zabawnych stron życia i po części im się to udało. Gdyby nie to, że chcą nam pokazać prawdziwy śmiech, niezmierzoną, pełną rozkosz, śmiech wyzwolony, rozkołysany trans szczęścia wybuchający cyklicznie w nieskończoność niczym wszechświat, nie byłabym prawie umarła ze strachu, a i inne przykrości byłyby mi oszczędzone. Te i inne doświadczenia zawdzięczam zwyczajowi, który znany jest wszędzie, ale nigdzie jego znaczenie nie jest tak wyolbrzymione jak u nas. Jest on związany z dniem pierwszego kwietnia, dniem wzajemnego żartobliwego oszukiwania się, nabierania, wyprowadzania w pole przy pomocy nieprawdziwych, nierzadko niepokojących informacji. Dniem *prima aprilis*, który stał się u nas dniem najważniejszym w roku.

Nie oczekuję, że usłyszę coś w rodzaju cichego „przepraszam”,

zbyt dobrze znam takich jak oni figlarzy. Co dzień regularnie pobudzają nas do śmiechu i wprowadzają nas w pogodny nastrój. Ekstaza śmiechu płynie przez wszystkich jak prąd elektryczny, bo lepiej się śmiać, zamiast przejmować. Uznali to za lepsze wyjście niż po prostu się martwić, nie wiadomo czym, bo gdy chodzi o przejmowanie się, to wiesz dlaczego się przejmujesz, gdy zaś chodzi o martwienie, to nie wiesz dlaczego. I to jest krótko mówiąc stan obecny. A kiedy urządzili wszystko wedle swego uznania, ludzie się przystosowali. Zakwitły czarne kwiaty nowych czasów. Wille, limuzyny, sygnety. A za moment licytacja, komornik i rynsztok. Wszystko zmienia się z dnia na dzień. Czarnego humoru pod dostatkiem. Wszystko płynie, jak mawiał Heraklit. Konsumpcja pełną parą. Kumoterstwo, radość i satysfakcja. Zadowolenie bogatych i szkaradnych bankierów, optymistyczne spojrzenie na rzeczywistość, pełne poczucie bez troski. Tak to mniej więcej wygląda.

W rzeczywistości wygląda to nawet jeszcze gorzej. Tak, bo kawały, które robi się zwykle z okazji prima aprilis, u nas robi się przez cały rok. Zawsze spotka się ludzi, którzy nie mają nic przeciw temu, żeby robić wszystko, co nie jest prawnie zabronione, a nie ma żadnego przepisu, który by tego zabraniał. Ostatnio więc kubły na śmieci, różne kosze, kartony, pojemniki zapełniły się prezerwatywami. Z początku można było jeszcze niczego nie zauważyć, można było pomyśleć, że cały ten bałagan nie potrwa zbyt długo. Ale teraz, kiedy ulice pełne są prezerwatyw – a było ich tam tak dużo, że samochody zmuszone były korzystać z chodników – niemożliwe było, aby nikt niczego nie zauważył. Wszyscy udawali, że nie wiedzą o niczym. A tymczasem użytkownicy wyrzucali je masowo, bo poinformowano ich, że zawierają mikroskopijne otwory, których pod zwykłym laboratoryjnym mikroskopem nie sposób zauważyć. Po prostu byłoby pod nim widać cząsteczki polimeru, które ciągnąc się bez końca tworzą powłokę twardą i jednolitą. Nikt nie zauważyłby milionów szczelin pomiędzy molekułami, których pochodzenie kryło swoje tajemnice nawet przed znawcami.

Różne dziwy dzieją się na świecie, a nie obejmiesz ich rozumem, co już niejednego doprowadziło do obłądu. Ale w obłąd można popaść w sposób znacznie prostszy; wystarczy włączyć telewizor albo zacząć czytać gazety. Ostatnio pojawiły się tam pogłoski, że polizanie kleju na znaczkach kolportowanych przez niektóre placówki pocztowe powoduje, iż zawarte w kleju jaja much przedostają się do przewodu pokarmowego i tam dojrzewają. Ale w jakim celu producent miałby umieszczać w kleju jaja much? Dlaczego polimery zawierały miliony szczelin między molekułami? Życie jest dostatecznie trudne, nawet jeśli nie trzeba zajmować się czymś, czego nie widać gołym okiem. Może to jakiś psychologiczny trick działający na podświadomość? Może producent uznał jaja much za dodatkową atrakcję, mały dreszczyk grozy, który wyróżnia jego znaczki spośród zalewu innych produktów.

Tego typu informacje potrafią być szczególnie irytujące, co już podkreślałam. Puszczane w świat odrywają się od źródła i zaczynają żyć własnym życiem. Wprawdzie niekiedy bywają one następnego dnia prostowane. Lecz, podczas gdy życie toczy się swoim normalnym torem, owe demaskatorskie wyjaśnienia stają się jeszcze mniej wiarygodne niż fałszywe wiadomości. Kłamstwo zdąży obieć pół świata, zanim prawda włoży buty. Wszyscy udają, że nie wiedzą o niczym, lecz każdy, kto zabiera głos na jakikolwiek temat, nie omieszka nigdy użyć jakiegoś wprowadzającego w błąd słowa. Zamiast na przykład na czajnik powiedzieć herbatnik, mówi tak na ciastko, albowiem pod wpływem tych okoliczności zmieniły się nasze obyczaje. Ja sama zawarłam w tej relacji wiele uszmkowanej prawdy, niejedno łgarstwo i wiele nieprawdziwych zdań. Nie ma sensu dociekać które, bo fałsz poprzednika nie wyklucza prawdziwości implikacji, czego ścisłą konsekwencją jest ochota, żeby jednak coś z tym zrobić, która niekiedy mnie nachodzi. Ale wtedy siadam sobie cichutko w kącie i błędząc swobodnie myślą po pustych przestrzeniach, czekam aż mi przejdzie. Tak samo robią wszyscy. Dlatego raczej często wciskamy kit i sprzedajemy lipę, którą szczególnie sobie cenimy, gdyż lipa może być

przydatna przy zrobieniu kariery. Kochanowski jest tego najlepszym dowodem. Osobiście nie znam wspanialszego zjawiska niż zapach kwitnących lip w ciepłe, letnie wieczory. Mamy najlepsze lipy i alkohol. A jednocześnie najgorszych pijaków i kłamców, ponieważ wytyka się im, że swoje oszustwa popełnili z zimną krwią, w sposób profesjonalny, dzięki sprawnie zgranym, starannie spreparowanym łgarstwom. Bo któż może się chełpić, że zawsze łże prosto w oczy nie robiąc tego w sposób grubiański, lecz naprawdę dobrze, z kamienną twarzą, ostrożnie i z namysłem, skoro na myśl o tym ogarnia nas przerażenie, strach przed odkryciem oszustwa, i męki sumienia, które dają się we znaki, zwłaszcza gdy łgarstwa są bardzo liche. A gdyby oni zostawili nas samych sobie, byłoby jeszcze gorzej. My sami nie bylibyśmy sobie w stanie pomóc, gdyby nie ich wysiłki. Lecz ich starania, żeby nas wyrwać z marazmu, otrząsnąć z drętwoty, nie idą na marne. Męki sumienia, kiepskie kłamstwa, które sprawiają, że wszyscy czują się fatalnie, a okłamywanych ogarnia ponury nastrój, smutek i gnuśność znikają pod wpływem ich działalności. Czekają nas lepsza przyszłość. Każdego dnia liczba przeszkód, stojących na drodze do nowego jutra, systematycznie i stale się zmniejsza. Z każdym dniem życie nasze zaczyna nabierać z wolna takich barw, zagadek, bogactw i znaczenia, o jakich w dawnych czasach nawet filozofom się nie śniło.

Autor: Jacek Jodłowski

Źródło: [Recykling Idei](#)